

# CHÓR POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ W HISZPANII

Od dawna wiemy, że Chór Politechniki Gdańskiej potrafi pięknie śpiewać – publiczność Kraju Basków i północnej Kastylii miała się o tym przekonać jesienią tego roku.

Nie byłoby naszej podróży bez serdecznej pomocy Rektora naszej Uczelni, pana profesora Aleksandra Kołodziejczyka. Dziękujemy, panie Rektorze!

W Vitorii, stolicy Baskonii, a jednocześnie stolicy prowincji Alava, od osiemnastu lat organizowany jest międzynarodowy festiwal muzyki chóralnej - La Semana Coral Internacional de Alava (3.09-10.09). Dwa lata starannych przygotowań doprowadziły Chór Politechniki Gdańskiej do udziału w tym wydarzeniu muzycznym. Następnie, w dniach 11 - 13 września Chór dał trzy koncerty w ramach Międzynarodowych Dni Muzyki Chóralnej w Burgos, historycznej stolicy Starej Kastylii. Zaprezentowano przede wszystkim repertuar polski: pieśni religijne i ludowe, oraz kilka utworów z folkloru innych krajów. W związku z udziałem w festiwalu Chór włączył do swojego repertuaru pieśni w języku hiszpańskim i baskijskim. Dyrygował pan Mariusz Mróz.

Kraj Basków – co wie o nim Polak wybierający się w tamtą stronę po raz pierwszy? Domyśla się chyba, że nie ujrzy tam tancerek flamenco, nie usłyszy stukotu kastanietów, nie natknie się na wyniosłe wiatraki, z którymi walczył Don Quijote. Prasa polska ukazuje nam ten kraj niemal wyłącznie przez pryzmat bieżącej polityki. Nasz Chór wyruszył jednak w podróż muzyczną, podróż trochę w nieznane – niespodzianką miały być oczekujące nas pejzaże, miejsca koncertów, ich publiczność.

Kraj Basków, w języku baskijskim Euskadi, zajmuje fragment północnej części Hiszpanii. Baskonia od zachodu graniczy z Kantabrią i Kastylią, od południa z Rioją, od wschodu z Francją i Nawarą. Jej północna granica to zróżnicowana linia brzegowa Morza Kantabryjskiego, z czarownym miastem San Sebastian, w którym wszyscy zakochaliśmy się bez reszty. Mieszkańcy tej krainy to naród odmienny od innych nacji zamieszkujących Półwysep Iberyjski. Wysocy, często jasnowłosi i niebieskoocy, są Baskowie mniej żywiołowi od swoich pobratymców z południa. Naturalna granica, jaką stanowi łańcuch Gór Kantabryjskich, sprawiła, że ziemie te oparły się najazdom obcych plemion, pozwalając ich mieszkańcom zachować znaczną odrębność kulturową i własny język. Od niepamiętnych czasów żeglarze baskijscy zapuszczali się za wielorybami pod Grenlandię. Baskowie tworzyli trzon pierwszej wyprawy Kolumba; Bask Elcano, członek wyprawy Magellana i kapitan legendarnej „Victorii”, jako pierwszy człowiek opłynął świat dookoła. Mieszkańcy Baskonii rozmiłowani są w sportach nie znanych w innych rejonach Hiszpanii – przerażanie siekierą wielkich pni, podnoszenie głazów, wyścigi w koszeniu trawy. Kult zręczności i siły łączy się tu z pracowitością i przedsiębiorczością. Ten naród górali, rolników i rybaków w XIX wieku potrafił stworzyć podwaliny nowoczesnego przemysłu, do dziś stanowiącego o zamożności tego regionu. O Vitorii mówię, że jest to miasto oferujące swoim mieszkańcom najwyższy standard życia w całej Hiszpanii. Międzynarodowy festiwal muzyki chóralnej, w którym wzięliśmy udział, to niewielki frag-

ment bogatego życia kulturalnego prowincji Alava.

We wrześniu 1999 roku do Vitorii zjechało osiem zespołów chóralnych: z Kamerunu, Argentyny, Kolumbii, Urugwaju, Litwy, Rosji i Polski. Łatwo wyobrazić sobie malowniczość tego gremium, tym bardziej, że część zespołów przywdziała ludowe stroje – barwne szaty i fantazyjne zawoje na głowach pań z Kamerunu zapierały dech. Zabawne, że dopiero w Hiszpanii poznałam stroje regionalne słowackich górali, ubogą wersję naszych tatrzańskich cuch i portek. Różnice językowe i kulturowe nie przeszkadzały w serdecznych kontaktach, zwłaszcza że ich spoiwem była materia tak uniwersalna, jak muzyka i śpiew.

Organizatorzy przygotowali dla wszystkich chórów wspólne lokum, miejsce niecodzienne, dawne seminarium duchowne o grubych murach i szerokich korytarzach wykładanych kafelkami malowanymi w misterne wzory. Te ceramiczne cacka, przywodzące na myśl andaluzyjskie patia, sprawiały, że głosy mieszkańców iście klasztornych cel niosły się, zwielokrotnione, po całym domiszczu. Na nic zdawały się irracjonalne prośby organizatorów o zachowanie ciszy przystojącej powadze miejsca, wielojęzyczny śpiew był jak żywioł: dobiegał z sal na parterze, gdzie odbywały się żmudne próby, sączył się spod pryszniców, szemrał w zakamarkach, na schodach, wybuchał z nagłą w stolówce, towarzyszył nocnym brzdąkaniom na gitarach. Fascynujące były wspólne próby naszego Chóru z zespołami z Ameryki Łacińskiej. Ich dyrygenci podziwiali zdyscyplinowanie naszych chórzystów, ich możliwości wokalne, doskonałą współpracę naszego dyrygenta z zespołem. A ileż było westchnień do urody dziewcząt z Polski...

Prawdziwym świętem śpiewania były wieczory, kiedy to każdy chór udawał się na koncert do innego pueblo (pueblo oznacza po hiszpańsku wioskę lub miasteczko). Tam, w niezwyklej atmosferze średniowiecznych, kamiennych kościołów i kościółków, nierzadko klejnotów architektury, baskijska publiczność czekała na spotkanie z muzyką nieznanymi obszarów. Ta publiczność, nie złożona z bywalców sal koncertowych, imponowała otwarciem, wrażliwością i spontanicznością. Polscy wykonawcy i polska muzyka, zwłaszcza ludowa, miały wspaniałe przyjęcie. Nasz chór szczerze się podobał - siła młodości, radości wspólnego śpiewania, wspaniałej współpracy z dyrygentem (dyrygent podobał się Argentynkom, ale to już inna historia...). Zebrali dobre, wnikliwie recenzje w baskijskiej prasie, dla której Semana Coral to ważne wydarzenie muzyczne. Po koncertach pytano o nagrania płytowe naszego Chóru, słuchacze zostawali, by uściśnąć rękę, podziękować, przekazać ciepłe słowa dla dyrygenta, sopranów, basów... Bywały długie oklaski na stojąco.

Nie raz żałowałam, że los nie obdarzył mnie pięknym głosem. Na pociechę dał znajomość hiszpańskiego, dzięki czemu mogłam te wszystkie miłe słowa przekazywać naszym pracowitym chórzystom i ich dyrygentowi, panu Mariuszowi Mrozowi.

Po koncertach zasiadaliśmy z władzami pueblos do wspólnej kolacji. Dziewiętnastowieczny podróżny wspominał: „...śnia-

*Nie raz żałowałam, że los nie obdarzył mnie pięknym głosem. Na pociechę dał znajomość hiszpańskiego, dzięki czemu mogłam te wszystkie miłe słowa przekazywać naszym pracowitym chórzystom i ich dyrygentowi, panu Mariuszowi Mrozowi.*

danie Hiszpana składa się z łyżki czekolady, obiad z ząbka czosnku zakropionego szklanką wody, a kolacja z papierosa...”

Doświadczenia owego podróznego nie stały się na szczęście naszym udziałem, z wyjątkiem ostatniego momentu ceremonii, rytuału palenia cygar. Wróćmy jednak do początku biesiady, na przykład tej z Santa Cruz de Campezo, miasteczka o średnio-wiecznych korzeniach, w którym właśnie owego dnia kończyła się kilkudniowa lokalna fiesta. Biesiadowaliśmy w towarzystwie pana burmistrza w typowej, gwarnej restauracyjce, gdzie właściciel osobiście obsługuje gości, dogląda pracy kelnerów i kucharzy, doradza dobór potraw i, jak gościnny pan domu, gawędzi z klientami. Na początek wszystkiego po trochu: zielone oliwki, smażone krążki kalmarów, obowiązkowo tortilla (rodzaj omletu z ziemniakami i cebulą) krojona w trójkąty, wędzona szynka wołowa, specjalność całej Hiszpanii, o zapachu każącym polskiemu powonieniu powątpiewać w jej świeżość. Do tego, na małych talerzykach, krewetki w pełnym rynsztunku pancerza, wąsików i nóżek (to już fraszka dla naszych chórzystów, nauczyli się rozbrajać je zgrabnie podczas poprzednich uczt). Popijamy czerwonym, wytrawnym winem Rioja. Z prowincji Rioja, graniczącej z Alava, pochodzą najlepsze wina Hiszpanii. Danie główne to dorsz, ulubiona ryba Basków, duszony z odrobiną papryki. Na deser lody lub flan, chyba najbardziej tradycyjny hiszpański deser, podobny w smaku do

naszego budyniu waniliowego. Przed i po każdej z tych potraw pieśni, piosenki. Śpiewa chór, później, rozzerwiony, zaczyna śpiewać pan burmistrz, znowu chór, kolega pana burmistrza, w końcu goście jedzący kolację przy innych stolikach. Godzina pierwsza w nocy nie przeszkadza w podaniu nam tradycyjnej kawy, a raczej esencji kawowej w maleńkich filiżankach. Do niej szanujący wieczorny rytuał Bask wychyli kieliszek pacharanu, słodko-cierpkiej wódki z owoców tarniny. W końcu cygara – kelner częstuje chętnych z małej, drewnianej skrzyneczki. Panie dyrygencie, czy pamięta pan ich aromat?

W Santa Cruz de Campezo dane nam też było poznać smak hiszpańskiej fiesty. Przyjechaliśmy do tego miasteczka wieczorem, choć jeszcze w blasku słońca, kiedy po głównych ulicach biegały ostatnie vaquillas- młode krówki o dość łagodnym temperamencie. Miejscowi młodzieńcy uganiali się za nimi, nie czyniąc sobie ani zwierzętom większych szkód, spłoszone dziewczęta w ludowych strojach przyglądały się tej bezładnej bieżance z rogów ulic, zabarykadowanych dla bezpieczeństwa osób postronnych traktorami okolicznych rolników. Zabawę wnet zakończono, oszołomione nieco bydła miały rychło wrócić na spokojne pastwiska, uczestnicy gonitwy zapełnili bary przy rynku, gasząc pragnienie szklaneczką tinto (czerwonego wina) lub piwem. Wraz z nastaniem zmroku na umieszczonej na rynku estradzie rozpoczęły się popisy zespołów ludowych. Pikantne przyśpiewki wywoływały salwy śmiechu wśród publiczności. Cały plac zafalował, gdy akordeoniści zaczęli grać rytmy joty – ludowego tańca popularnego w całej północno-wschodniej Hiszpanii. Nasze chórzystki dały się ponieść muzy-

ce – w eleganckich długich sukniach rażno podskakiwały wśród wirujących ludowych spódnic tamtejszych dziewcząt.

Spacerowaliśmy po ulicach rozbawionego Santa Cruz de Campezo, mając za przewodnika pana burmistrza, osobę w widoczny sposób szanowaną przez mieszkańców miasteczka. Przechodnie przystawali by go pozdrowić, pożartować. Zналиśmy już ten poufały, a jednak pełen szacunku sposób odnoszenia się do tamtejszych burmistrzów i sołtysów z pobytu w innych pueblis. Warto zaznaczyć, że baskijskie władze lokalne pełnią swoje funkcje społecznie, nie pobierając wynagrodzenia. Nie dotyczy to większych miast, jednak w pueblis jest niemal powszechne.

Fiesta miała się skończyć o drugiej w nocy pokazem sztucznych ogni. Nasi gospodarze nie mogli uwierzyć, że musimy pożegnać Santa Cruz nie zobaczywszy tego widowiska. Niestety, o drugiej w nocy zamykano nasze seminarium. Barbarzyńsko wcześniej jak na tamtą szerokość geograficzną.

Z każdym koncertem, z każdym pueblis łączą nas niezwykle wspomnienia. Maleńka Durana, w której obdarowano każdego z nas czerwonymi goździkami, unikatowe, iberyjskie organy w pięknym kościele w Labastida, magnetyczna atmosfera Castrojeriz, na wpół umarłego miasteczka pamiętającego czasy pierwszych pielgrzymek do grobu Świętego Jakuba... Jednak najważniejsze były spotkania z ludźmi

wrażliwymi na muzykę, odpowiadającymi śpiewem na śpiew.

W Santa Cruz de Campezo pan burmistrz śpiewał dla nas stare „rancheras”, w Zuaza ludowa kapela prowadzona przez miejscowego proboszcza uczyła nas kroków joty, mieszkańcy Durany specjalnie dla gości z Polski przypomnieli dawne baskijskie pieśni w wykonaniu godnym płytowych nagrań. Tak nawiązywał się muzyczny dialog.

Opuściwszy Kraj Basków udaliśmy się do Burgos, dawnej stolicy Starej Kastylii, by wziąć udział w tamtejszych Międzynarodowych Dniach Muzyki Chóralnej. Na spieczonym słońcem krajobrazów Baskonii, najważniejszym dla Chóru miał się okazać koncert finałowy. W Burgos, w słynnej XV-wiecznej rezydencji zwanej Casa del Cordon, nasi chórzyści zaśpiewali w sali, w której w roku 1497 Krzysztof Kolumb został przyjęty przez królów katolickich, Ferdynanda i Izabelę, po powrocie ze swojej drugiej wyprawy do Nowego Świata. Trudno by było o piękniejsze zakończenie tournée. Wyrobiona, i z pozoru nietatwa, publiczność z Burgos przyjęła koncert owacyjnie.

Tych czternaście hiszpańskich dni przyniosło oprócz bogactwa wrażeń liczne przyjaźnie muzyczne, które trwają, będą się rozwijać i zapewne przyniosą ponowne spotkania, może nowe podróże? Serdecznie tego życzę naszemu Chórowi – to mądra i sympatyczna młodzież, którą serdecznie polubiłam.

Ewa Jurkiewicz  
*Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych*

# Kłopoty z nową legitymacją

Z końcem grudnia wygasła ważność mojej dotychczasowej legitymacji uprawniającej do zniżki na przejazdy kolejowe. Podobnie jak w latach poprzednich, zaniósłem do Działu Osobowego nową odbitkę tego samego zdjęcia, przeznaczoną do legitymacji służbowej na następny rok. Pani, która załatwiała te sprawy, popatrzała na mnie i na przyniesioną odbitkę i powiedziała: „musi pan dostarczyć nowe zdjęcie, bo ta klisza jest już tak stara, że kontroler może robić panu trudności”. Stwierdzenie niewątpliwie słuszne, bo dotychczasowa fotografia pochodziła z roku 1961, a od tego czasu mój wygląd mocno się zmienił. Sam to dostrzegam przy codziennym goleniu!

Mimo upływu szeregu lat moja czupryna nadal rośnie w dużym tempie; w młodości musiałem chodzić do fryzjera co dwa tygodnie, a teraz nieco rzadziej, bo raz na trzy tygodnie. Przed pójściem do fotografa muszę się ostrzyć i to w jakimś solidnym zakładzie, by nowe zdjęcie można było stosować przez wiele lat. Może więc zmienić fryzjera? Wybrać jakiś nowoczesny zakład?

Warto na przykład pomyśleć o „Salonie Amerykańskim”, mieszczącym się przy Długiej 73, a prowadzonym przez Charlesa Haby’ego. Z reklamy wynika, że stosuje się tam mechaniczną obrotową szczotkę do włosów, co stanowi ciekawą nowinkę techniczną. Za takie nowinki pobiera się zwykle znaczną opłatę - a tutaj, ze względu na położenie zakładu, będzie ona zapewne dość wysoka. Czy jednak, oprócz ciekawości, jest jakaś przyczyna, by się tam udać? Chyba nie, gdyż przedwojenny uporczywy łupież sam minął jeszcze w latach czterdziestych. Wobec tego zdecyduję się na jakiś porządny zakład, działający we Wrzeszczu. A jest w czym wybierać!

W kolejnym ogłoszeniu coś mi się nie podoba: przecież w budynku Grunwaldzka 19/23 mieści się oddział „Banku Gdańskiego”! Fryzjer, działający w podwórzu budynku położonego przy głównej ulicy, nie budzi zaufania. Do wyboru pozostają dwaj fryzjerzy reklamujący się swoim warszawskim pochodzeniem. Chyba zdecyduję się na zakład Latomicza, bo mieści się w centrum Wrzeszcza.

A teraz następny problem do rozważenia: jakiego wybrać fotografa? Tu także istnieje sporo możliwości.

Wybór między tymi ofertami nie jest łatwy. Zakład Fischera mieści się przy Rzeźnickiej 87, zatem nieco na uboczu. W centrum handlowym, do którego należy ulica Szeroka, istnieje pracownia Mischewskiego, która musi utrzymywać wysoką jakość zdjęć, bo przecież niedaleko znajduje się redakcja znanego dziennika. No dobrze, ale czy mnie będzie stać na taki wydatek? Trzeba zatem poszukać fotografa działającego w mniej eksponowanym otoczeniu. Znalazłem!

Tak więc wszystkie problemy zostały rozstrzygnięte, pora więc wyruszać z domu! I w tej chwili ocknąłem się w swoim mieszkaniu, bo opisane rozważania odbywały się we śnie. W godzinach popołudniowych wczoraj przeglądałem stare książki adresowe, dostępne w Czytelnicy Naukowej Biblioteki Gdańskiej PAN. Zabrało to sporo czasu, bo szukałem informacji na temat kupieckiego rodu noszącego nazwisko Annacker. Wieczorem, po powrocie do domu, zaglądnąłem do starego „Informatora miasta Gdańska”, by sprawdzić, gdzie mieścił się sklep papierniczy Franciszka Jaźwińskiego: Grunwaldzka 124.

Rano, zaraz po śniadaniu, poszedłem ostrzyć się do tego samego zakładu, z którego usług korzystam od wielu lat. Mam go praktycznie „pod bokiem”, bo znajduje się na parterze tej kamienicy, gdzie mieszkam na wysokim piętrze. Świeżo ostrzyżony udałem się do pracy i po drodze wstąpiłem do pracowni fotograficznej, gdzie działają dwie sympatyczne panie: Zosia i Truda. Im to od szeregu lat powierzam wszelkie prace fotograficzne, jakie wiążą się z przygotowaniem moich publikacji. Zrobione zdjęcie legitymacyjne odebrałem nazajutrz i zaraz zaniósłem do Działu Osobowego. W godzinach południowych odebrałem już nową legitymację służbową.

Teraz jestem spokojny, że podczas wyjazdu do Warszawy na posiedzenie Rady Naukowej Instytutu Elektrotechniki nie spotka mnie jakaś przykrość przy kontroli biletów kolejowych.

*Jerzy Sawicki*

*Wydział Elektrotechniki i Automatyki*

## CZASOPRZESTRZEŃ ARCHITEKTONICZNA

*Gwiazda w czasoprzestrzeni architektonicznej*  
*to*

*Talent i Pracowitość; wartości ponadczasowe*

### Tytułem wstępu i usprawiedliwienia

Chodzi mi o uświadomienie sobie i czytelnikowi, że umiejętność to proces nabywany przez lata życia zawodowego, a bez nauki nie powstanie umiejętność, bez umiejętności i nauki zaś sztuka...

Otóż moja teoria zakłada, że multiplikacja pozytywnego wpływu nie jest wcale ograniczona czasem i przestrzenią, rozrasta się w postępie geometrycznym. Jeden „zauroczony” doskonałym przykładem działa na zasadzie podawania dobrych wzorców „zaczepniętych ze światła gwiazdy” dalej i rozdawania dobrych przykładów.

Czy istnieje szkoła gwiazd architektonicznych? Jakaś metoda na to, by stać się znakomitym nauczycielem, wysublimowanym esteta, świadomym trudności zawodu inżynierem, subtel-

nym kreatorem przestrzeni? Otóż nie ma innego wyjścia, jak tylko przyjęcie za pewnik, że są. Wartości ponad czasem, modą i polityką. Tymi wartościami są: praca nad sobą, pracowitość, totalne autentyczne zaangażowanie.

Myśl filozofii klasycznej zakłada, że człowiekowi podobać może się to jedynie, co jest dla niego uchwytne, co nie przekracza możliwości jego umysłu, zmysłów, pamięci. Zadowolenie, jakiego dostarcza człowiekowi sztuka, zależne jest od jego struktury umysłowej. Estetyka klasyczna nie wskazywała jednak konkretnie, jakie formy odpowiadają człowiekowi i dlaczego takie odpowiadają! Estetyczna teoria psychologizująca ma tu luki, nie jest dość szczegółowa, by wyjaśnić działanie, oddziaływanie architektury. Są tu niedopowiedzenia, luki. Te luki to są właśnie miejsca, w których zaistnieć ma prawo geniuszu, mistrza, jednostka wybitna. Architekt-twórca, człowiek wszechstronny jest bardzo poszukiwany. Śmiem twierdzić: coraz bardziej. Optymistycznie brzmi to, że przedmiotem zbiorczych opracowań jest poszukiwanie źródeł niezwykłego wpływu czasoprzestrzeni na architektów.

## Miejsce dobrego architekta pedagoga w nauczaniu architektury

Otóż **skuteczność** i znakomitość metody prowadzenia zajęć ze studentami i współpracownikami polega na założeniu Mistrza, że **pasję można rozbudzić w każdym**. Pracowitością można zarazić, pomagać trzeba w zrozumieniu metodologii projektowania każdemu, ale **wyręczać w pracy nie wolno nikogo**.

**Samorowój** nagradzany to recepta na sukces w usprawnianiu pakietu działań, takich jak komponowanie architektoniczne, pomysłowość i intuicja (prof. Żurawski twierdzi, że nie ma w architekturze wartości estetycznych bez udziału naszego „ja”). Tak więc kreacja, intuicja i uczucia, w przebiegu pracy nad sobą każdego studenta są bardzo ważne, ale tylko w przypadku niezwykle wybitnych twórczych jednostek, otwartych umysłowo. W przeciwnym wypadku dochodzi do tworzenia jedynie grup wyznawców danego Mistrza czyli Gwiazdy.

Na tym tle rysuje się Osobowość Mistrza. Relacja Mistrz - Uczeń opiera się na relacji człowieka Wielkiego współpracującego „intelektualnie nad procesem nauczania realiów architektonicznych”.

Architektura jest, jak wiadomo, sztuką imitacyjną, ale opartą na własnej pomysłowości i wirtuozerii doboru środków wyrazu.

### Kilka uwag o kondycji „Mistrzów i Uczniów” w czasoprzestrzeni architektonicznej

Jeżeli student ma stać się autentycznym architektem, musi uzyskać przynajmniej początki sprawności w operowaniu rzemiosłem projektowym, na które składa się: znajomość konstrukcji budowlanych i umiejętność wyboru metody budowy najefektywniejszej dla rozwiązywanego zadania, znajomość problemów funkcjonalnych, umiejętność właściwego kojarzenia elementów programowych w projektowanej budowlu, umiejętność właściwego usytuowania budowli w stosunku do jej otoczenia naturalnego i sztucznego. Musi również posiadać umiejętność czytelnego i jasnego przekazania swoich zamierzeń projektowych poprzez rysunek, model i opis. To, co uczelnia może mu w tym zakresie przekazać, stanowi jednak zaledwie podstawę dla dalszego rozbudowywania i uzupełniania wiedzy, które trwają do końca działalności zawodowej. Dalej student musi wyrobić w sobie wrażliwość plastyczną i nauczyć się operowania kształtem, proporcjami, skalą, barwą w taki sposób, żeby zaproponowana budowla stanowiła jednorodną, harmonijną całość, zgod-

ną z intencją autora, żeby nie była tylko wypadkową różnych czynników, ale rezultatem świadomego twórczego działania. Również i tu uczelnia jest w stanie dać jedynie podstawy, pokazać możliwość i wskazać kierunki poszukiwań, które muszą rozwijać się przez całe życie. Ale wszystko to stanowi właściwie tylko niezbędną podstawę rzemieślniczej strony projektowania. Rzemiosło to bowiem może być dalej użytkowane w różny sposób i w rozmaitych celach. Sprawą uczelni jest wskazanie tej różnorodności celów, a sprawą nauczającego przedstawienie tych racji, które powodują, że jego własny wybór celów jest uzasadniony i słuszny. Słowo „postawa” oznacza przede wszystkim rezultat oceny poszczególnych czynników, wpływających na kształtowanie budowli czy ich zespołu, przekonanie, że jedne z nich są ważniejsze od innych. Jeżeli pojmować architekturę jako sztukę kształtowania środowiska, to podstawę do oceny wartości dzieła tworzy przede wszystkim relacja między tym dziełem a jego kontekstem przestrzennym, kulturowym i społecznym, oraz przekonanie, że wszyscy twórcy wnoszą w gruncie rzeczy wkład w jedno dzieło i ich praca musi być oceniana właśnie z punktu widzenia dobra tego dzieła zbiorowego.

Szkoły architektoniczne, które zdobywały jakieś szersze uznanie (takie jak na przykład Bauhaus), zawdzięczały swoje znaczenie temu, że ich twórcy rozumieli miejsce architekta w społeczeństwie i jego rolę w sposób odmienny od powszechnie uznawanych zasad. Podobnie podstawę metod nauczania „mistrzów” architektury, takich jak Frank Lloyd Wright, a u nas Romuald Gutt czy Bohdan Pniewski, stanowił właśnie ich indywidualny stosunek nie do nauczania, lecz do architektury w ogóle, do jej funkcji społecznej. Stosunek niekoniecznie formułowany w słowach (tak jak to było w Bauhausie), ale przecież wyrażający się w całej własnej działalności zawodowej.

Doprowadzenie do świadomości studenta architektury tych dość prostych prawd jest - jak sądzę - jednym z podstawowych zadań w nauczaniu projektowania architektonicznego, zadań nie mniej istotnych niż nauczanie rzemiosła, wyrobienie wrażliwości, umiejętności dokonywania samodzielnych syntez projektowych. Może być również podstawą do pewnej skromności w eksponowaniu własnej osoby i do odporności na często zmieniające się i używające coraz to nowych nazw mody. Architektura bez architektów, ludowa, na ogół bezbłędnie dopasowuje odpowiedź projektową (realizacyjną) do potrzeb użytkownika. Ten, kto buduje dla siebie, wie najlepiej, co jest mu potrzebne,



i w zależności od możliwości i umiejętności powstaje dzieło (obiekt) mniej lub bardziej udane, ale adresowane do konkretnego odbiorcy. Inaczej przedstawia się problem, kiedy jedna osoba, a nawet zespół, projektuje dla setek, a i tysięcy ludzi, których życzenia są tylko w zarysie do przewidzenia. Anonimowy odbiorca jest jednak mniej anonimowy niżby się to wydawało.

W jaki sposób tego dokonać? Odpowiedzi na poprzednie pytania uświadamiają złożoność procesu projektowania. Projektowanie nie byłoby jednak w pełni działaniem twórczym, gdyby zostało pozbawione pierwiastka osobowości autora. Poszukiwanie nowych dróg rozwiązań nie powinno być wyłącznie dziełem fantazji. Chodzi tu o twórczość popartą szeroką wiedzą wynikającą z wnikliwego studiowania problemu umiejętności wyważania proporcji między obiektywnymi przesłankami a subiektywnym odczuciem. Oznacza to umiejętność obserwacji, wyciągania wniosków i stawiania dalszych pytań: jak sprostać zmieniającym się potrzebom i upodobaniom, gdzie tkwi błąd w dotychczasowych znanych i krytykowanych dokonaniach, co należałoby zaproponować, aby usunąć zauważone nieprawidłowości itd. Tak pojęta nauka myślenia winna dać podstawy dla późniejszej działalności praktycznej, aby ta stała się rzeczywistą twórczością, wkładem w rozwój myśli i budowania kultury. Bez dogmatów.

*Po pierwsze:* rzeczywista wiedza adepta architektury zależy wprost od samodyscypliny absolwenta, a początek jej bierze się z ćwiczeń myślenia o budowie formy architektonicznej. Tak więc teoria i praktyka muszą stale pozostawać we wzajemnych relacjach dynamicznej równowagi.

*Po drugie:* ponieważ osaczenie młodego człowieka, który kończy studia architektoniczne, jest wielkie i stwarza niebezpieczeństwo „zmanierowania” u progu kariery zawodowej, to staje się jasne, że właściwe proporcje pomiędzy ładunkiem teorii i praktyki muszą być przedmiotem nieustannych przystosowawczych działań na wydziałach architektury.

*Po trzecie:* tylko i wyłącznie indywidualny wysiłek własny nauczycieli i uczniów daje efekt w postaci „otwartej głowy” zawodowca, czyli architekta myślącego. Praktyka zawodowa podjęta po studiach, „bez obciążeń” dogmatami wyniesionymi z uczelni, prowadzi do efektywnego uprawiania zawodu z pożytkiem przede wszystkim dla klienta, czyli nas wszystkich. Młody architekt radzi sobie sam z problemem świadomego wyboru formy, elementów konstrukcji oraz detalu architektonicznego.

Wobec ogromu przedstawionych „pobożnych życzeń” pod adresem grona dydaktycznego, które oprócz powinności tworzenia konkretnego programu i skutecznego „biznesplanu” ma za zadanie czuwać nad strategią rozwoju studenta, powstaje pytanie: kto podoła takim obowiązkom, zarazem jednak nie rezygnując z własnej pracy w zawodzie? Odpowiedź brzmi: nie wiem. Najbardziej racjonalny wydaje się system stałego szlifowania metod programu nauczania na bazie kompetencji grona dydaktyków; w tym przypadku doświadczenia mają szansę sumować się. Odpowiedzialność za poziom technicznej wiedzy absolwenta winna być ponad ambicjami nauczyciela. Skromność zawodowa musi być tak ważna, jak zaciętość i otwartość na zmiany na obu biegunach procesu dydaktycznego; przepływ energii oparty powinien być na stałym samokształceniu ucznia i nauczyciela. Bez tego model programowy pozostaje martwy. Niezwykle ważna jest tu filozofia bycia całą dobę architektem. Architekt wykładowca nie może pozwolić sobie na pracę „w godzinach od ..... do.....”, w ustalonym przez pracodawcę czasie

zająć, liczy się dzieło. Ćwiczenia nie mogą być prowadzone tak tylko, aby wykonać określony plan godzinowy, szkoda czasu! Studenci zaś nie nauczą się w takim wypadku niezmiernie ważnej dla każdego architekta umiejętności, którą nazywam „odpowiedzialnością za kreskę”.

### **A co ze zdobyczami innowatyki w procesie nauki projektowania?**

Powstała odrębna gałąź wiedzy, innowatyka, interdyscyplinarna dziedzina nauki, posiadająca już pewien dorobek i obszerną literaturę. Przedmiotem jej badań jest innowacyjna plastyczność ludzkiego umysłu oraz poszukiwanie sposobów, które by szczególnie rozwijały ową plastyczność.

Paradoks nauczania ujawnia się ze szczególną ostrością w szkolnictwie artystycznym. Oprócz ogólnych procesów, drążących współczesną cywilizację, pojawiają się tu jeszcze inne, dodatkowe, związane ze specyfiką i odrębnością życia artystycznego. Wyrazem kryzysowej, a w każdym razie przełomowej sytuacji, są liczne reorganizacje szkolnictwa. Tak np. w Szkole Sztuk Plastycznych w Hamburgu powstał nowy wydział wzornictwa przemysłowego. W tym samym czasie w Szkole Sztuki Stosowanej w Darmstad, w celu ściślejszej współpracy z miejscową politechniką reorganizuje się wydział wzornictwa przemysłowego. W szkołach o niezmiennym statusie organizacyjnym stare programy zastępuje się nowymi. Jest to zjawisko powszechne dziś na całym świecie. **Zastępowanie nauczania kształceniem** jest szczególnie ważne w szkolnictwie artystycznym. W sztuce wcześniej niż w innych dziedzinach życia, technice i gospodarce, dokonało się przewartościowanie, związane z wysuwaniem się na plan pierwszy takich cech, jak oryginalność, inwencja itp. Nowatorstwo i odkrywczosc ceni się w sztuce wyżej, niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie. To, co ma dopiero zostać odkryte, nie może być zawczasu, przed dokonaniem odkrycia, skodyfikowane, sformułowane i jasno określone. Zdobycze **innowatyki**, próbujące odpowiedzieć na pytanie jak kształcić **odkrywców**, tylko w niewielkim stopniu dają się w sztuce wykorzystać, jest ona bowiem dziedziną swoistą. Dodatkową trudnością jest okoliczność, że model tradycyjnego nauczania jest szczególnie obciążony skostnieniem i konserwatyżmem.

Studia nad programami współczesnych szkół projektowania pozwalają stwierdzić, iż programy te zawierają konglomerat rozmaitych, pochodzących z różnych okresów wątków. Pokutują tu pewne elementy tradycji, pochodzące jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej, okresu międzywojennego i współczesnego. Lawinowe przeobrażenia ostatniego ćwierćwiecza nie zdołały doprowadzić do odpowiadających im radykalnych zmian w zakresie programów.

Dyskusje w gronie nauczających ograniczają się do roztrząsania wciąż tych samych problemów: liberalizm czy rygoryzm w egzekwowaniu wiedzy. **Poszukiwania metody kształcenia** wciąż nie znajdują należytego zainteresowania. Jako uzdrawiający środek postuluje się łączenie pracy dydaktycznej z praktycznym uprawianiem zawodu. Postulat ten nie jest dziś rewelacją, a jego realizacja jest jeszcze trudniejsza niż dawniej.

### **Renesans roli teorii w czasoprzestrzeni architektonicznej**

Termin „teoria” jest bardzo niejasny i wieloznaczny. Przez teorię rozumie się niekiedy abstrakcyjne rozważania uprawiane w dawno minionych czasach. Nie jest to oczywiście ten typ teorii, na który istotnie panuje zapotrzebowanie. Niektórzy nauczający słysząc, że teoria „znowu jest w modzie”, wskrzeszają elementy dawno przezwyciężonego akademizmu. Inny ro-

dziej teorii, to poświęcona architekturze publicystyka, która, reprezentując niski poziom metodologiczny, nie zasługuje na miano teorii. Teoria obejmuje wreszcie manifesty i wypowiedzi twórców. Tylko wyjątkowo treścią tych ostatnich bywa rzetelna próba eksplikacji artystycznego programu i refleksja nad własną twórczością. Częściej pomiędzy głoszonymi tezami programowymi a rzeczywistością przestrzeganymi w twórczości postulatami zarysowuje się znaczna rozbieżność. Przykładem może służyć pięć „zasad” le Corbusiera. Dla twórczej praktyki „pięć punktów” ma tylko znaczenie nieobowiązujących tez programowych. Należy więc wyrazić zdziwienie, że w każdej nieomal poświęconej współczesnej architekturze książce mówi się o nich jako o „zasadach”.

Autorzy dobrze wiedzą, że Pawilon L'Esprit Nouveau z 1925 roku, Kaplica w Ronchamp, Pawilon Philipsa w Brukseli nie spełniają tych zasad, i zdają się nie dostrzegać, iż pomiędzy **zasadami a tezami programowymi** zachodzi zasadnicza różnica. Merytoryczna analiza pięciu punktów i możliwości wynikających z przestrzegania zawartych w nich postulatów jest rzadkością.

Takie uprawianie teorii wyrabia jej tylko złą markę i powoduje, że bardziej wartościowe rozważania teoretyczne, np. Macieja Nowickiego, ulegając zapomnieniu – pozostają nieznanne.

Inny, współczesny sposób uprawiania teorii, to poszukiwanie pewnych ogólnych, obowiązujących twórczość zasad. Trudno znaleźć wspólną nazwę dla tego typu poszukiwań, bo bazują na założeniach wywodzących się z różnych tradycji naukowych i w ślad za tym stosują różnorodną typologię i terminologię. Wyróżnione uprzednio typy działań: informacja, kształtowanie i przekazywanie, to odmienne rodzaje działań, a nie kolejne fazy powstawania projektów. Wyodrębnienie ich jest zabiegiem czysto teoretycznym, bo w rzeczywistym procesie twórczym są one wzajemnie ze sobą sprzężone. W początkowej fazie powstawania projektu proces tworzenia przebiega głównie w wyobraźni i polega na wypracowaniu umysłowego obrazu, nie istniejące-

go jeszcze, a mającego dopiero powstać przedmiotu. Czynności tej towarzyszy nieustannie zdobywanie i przetwarzanie danych. Natomiast w drugiej fazie tworzenia, udoskonalone i coraz jaśniej określone obrazy umysłowe porównuje się z realnymi ich odpowiednikami szkicami, rysunkami, modelami itp.

Niektórzy projektanci posiadają wielką łatwość tworzenia umysłowych wizji. Umysłowy obraz projektowania obiektu tak mocno zarysowuje się im w wyobraźni, iż bez pomocy szkiców i rysunków dokonują krytycznych analiz i przekształceń. Dlatego jedni projektanci mniej, inni więcej szkicują, rysują i modelują. Są też i tacy, którzy rozpoczynają szkicowanie, względnie modelowanie, mimo braku koncepcji. Przypuszczają bowiem, że sam proces tych czynności zaktywizuje wyobraźnię i doprowadzi do ujawnienia się i skonkretyzowania wizji. Dopiero tak powstałą koncepcję przestrzenną modyfikują i przekształcają zgodnie z wymogami funkcji. Kolejność czynności jest tu odwrotna w stosunku do powszechnie postulowanej. Potępienie takiego postępowania należy już do obowiązujących sloganów. Tymczasem jest wiele dobrych projektów o takiej właśnie genezie.

### Epilog

Wołanie o Mistrza w czasoprzestrzeni wyczuwam jako Aktualne!

Powtarzam: Są dwie uznane zalety człowieka: Talent i Pracowitość; wartości ponadczasowe, uznane i podziwiane, wciąż poszukiwane przez nowe rzesze adeptów sztuk! Trudne do przedstawienia w sposób wyważony, a jednak dobitnie, w sposób na jaki w każdych okolicznościach zasługują!

P.S. Nie o laurkę mi chodzi, chodzi o uświadomienie sobie i studentom, że **umiejętność** to proces nabywany przez lata życia zawodowego, bez nauki nie powstanie **umiejętność**, bez **umiejętności i nauki – sztuka...**

*Krystyna Pokrzywnicka  
Wydział Architektury*

## Magister (cd.)

### STULECIE BOMBARDOWANYCH MIAST

W krąg wypalone rumowisko ulic, szkielety domów, zimne pogorzeliśko centrum wielkiego miasta. W całej historii gromady ludzkie dopadały wrogich osad i niszczyły wszystko, co wpadło pod ręce. Nie wystarczyło wymordowanie mieszkańców, należało jeszcze zniszczyć osadę, żeby kamień na kamieniu nie został. W XX wieku homo sapiens opracował i wprowadził w życie nową taktykę „ziemi spalonej”.

Człowiek – przyglądając się ptakom – marzył o lataniu. Z wysokiego, swobodnego lotu pragnął oglądać Ziemię. Mijały tysiąclecia, aż oto w 1783 roku na balonie zbudowanym przez braci Montgolfier, de Rozier i markiz Laurent d'Arlandes przelecieli nad Paryżem, dokonując pierwszego w historii przelotu powietrznego. Od tego dnia zbudowano, Panie, wiele balonów i aerostatów, od niewielkich po ogromne statki powietrzne. Zwiększano udźwieg balonów, aż pewnego dnia ktoś wpadł na pomysł wykorzystania balonu do bombardowania miasta. Pierwsze bomby z balonu spadły na oblężoną Wenecję w 1849 roku.



Balon w niczym nie przypomina ptaka, a człowiek marzył właśnie o locie ptaka. Upłynęło niewiele czasu, w 1903 roku bracia Orville i Wilbur Wright zbudowali pierwszy udany samolot silnikowy, dokonali pierwszego lotu. Tym razem chociaż w przybliżeniu „maszyna” przypominała ptaka. Narodził się samolot.

Wyobraźnia poniosła konstruktorów. Rozwój techniki pozwalał realizować nawet najśmielsze marzenia. Bracia Wright zbudowali swój samolot z drewna i płótna. W pierwszym locie przeleciał na niewielkiej wysokości 36 metrów. W dwanaście lat po tym „skoku” zbudowano samolot o konstrukcji całkowicie metalowej. W 1928 roku samolot przeleciał przez Atlantyk. W 1939 roku wystartował pierwszy samolot odrzutowy. Człowiek poleciał dalej, prędzej i wyżej od ptaka. W locie dotyka teraz Kosmosu i przekracza wielokrotnie prędkość dźwięku.

A kiedy człowiek rozwinął już skrzydła w swobodnym locie, wyładował kadłub bombami, by „razić cele znajdujące się na ziemi, na wodzie i pod wodą”. Do rażenia owych celów uczeni opracowali, a przemysł masowo produ-

kował bomby. Bomby dzielimy, Panie, na: burzące, odłamkowe, przeciwpancerne, zapalające, oświetlające... Najlżejsze bombki ważą 2 kg, najcięższe 10 ton.

Startowały tysiące samolotów, wylądowane bombami, na miasta-cele. Opracowano taktykę nalotów dywanowych. I miasta zamieniały się w ogromne dymiące rumowiska.

Bomby spadały na przedszkola, szpitale, świątynie, muzea... Rozwalały w proch ołtarze, krzyże, miejsca święte i najświętsze.

Często zaglądałem, Panie, do wypalonego kościoła. Z kawałków rozerwanego krzyża patrzył na mnie Chrystus ukrzyżowany, bez ręki, bez nóg, z głową naderwaną. Ze ścian, resztek sklepienia spoglądali osmaleni, porozrywani aniołowie i święci. W ruinach kościoła spotykałem staruszkę, która klęcząc modliła się do owych strzępów Chrystusa na krzyżu.

Ale dla uczonych, konstruktorów, strategów, taktyków... to za mało. Wkomponowali w kadłub samolotu tylko jedną bombę, atomową. Bomba atomowa, Panie, to „urządzenie” o wielkiej sile wybuchu. Owa siła powstaje w procesie reakcji łańcuchowej rozszczepienia jąder uranu lub plutonu. Takiego rozszczepienia dokonano 6 sierpnia 1945 roku nad japońskim miastem Hiroszima. Jedna bombka zniszczyła dwie trzecie miasta, zabiła 80 000 ludzi. Do dziś w wyniku wybuchu zmarło 200 000 ludzi. Następną bombkę zrzucono w trzy dni później na miasto Nagasaki – zabiła 75 000 ludzi.

Oto, Panie, dokoła obraz „działalności” człowieka rozumnego, nie ustającego w doskonaleniu bomby; w pracowniach uczonych powstaje teraz bomba wodorowa. Bomba o olbrzymiej sile wybuchu, wyzwolanej w reakcji łączenia się jąder wodoru w jądra helu. Podczas tej syntezy powstaje temperatura wielu milionów stopni.

Czy przewidziałeś, Panie, te możliwości człowieka? Czy przewidziałeś planetę wypalonych miast, milionów zabitych i okaleczonych ludzi w odwiecznym biegu dookoła Słońca?

#### **TEATRZYK PRZED UKRZYŻOWANYM**

Z przyjemnością, z potrzeby serca, wchodzę, Panie, do Twoich świątyni, do Twoich przybytków. Zwłaszcza wtedy, gdy świecą pustką. Siadam w dostojnej ciszy. Wieczna lampka przed ołtarzem skłania do zadumy. Godzinka wyrwana z hałasu ulic. Ileż spraw można przemyśleć, Panie, w ciszy sklepionej dachem świątyni, pod ramionami krzyża.

Nie rozumiem ludzi, którzy Twoje przybytki zamieniają w teatrzyki absurdu. Pewnego razu, Panie, w słotne popołudnie, kiedy siedziałem w półmroku nawy, kościół nagle ożywił się. Zapalono wszystkie kandelabry, wszystkie świece na ołtarzu, kościelny rozwinął chodnik od drzwi wejściowych do ołtarza, zabrzmiały organy Nawę wypełnił tłumek rozszepczanych weselników i przypadkowych gapiów.

Po chwili grzmotem muzyki organowej - Marszem Mendelssohna – blaskiem światła, błyskami aparatów fotograficznych witano nowożeńców zbliżających się do ołtarza. Z ceremonii ślubu emanowało bogactwo i przepych. Mistrzowie igły ubrali pannę młodą, pana młodego, dziewczynkę niosącą welon, świadków, mamusię, tatusiów, babcie, dziadków, ciotki, wujków, krewnych, przyjaciół... Oto kościół wypełnili ludzie, którzy opłacili bogatą ceremonię. Ołtarz przywitał nowożeńców kosztami kwiatów, gromadką asystujących księdzu ministrantów. Misterium

ślubu trwało: modlitwy, śpiew, organy, klękanie, powstawanie, poświęcanie, błogosławienie... wśród gapiów szeptu: zachwyt, plotkowanie.

Na ceremonii patrzyłem z odrobiną rozbawienia. Na aktorów sceny patrzył również Chrystus z krzyża. Jeżeli czytał moje myśli, dostrzegł mój krytycyzm. Usiłowałem wyobrazić sobie scenę mojego własnego ślubu. Scenki wyjęte z teatru, przeniesione przed Twój ołtarz, Panie. Nie mówię tego złośliwie. Tak to oceniam, tak pojmuję, tak odczuwam. Chrzeszt, przyjęcie, bierzmowanie, ślub, śmierć... oprawiliśmy w teatralne scenki, jakże często rozbudowane daleko poza granice rozsądku.

Kiedy para nowożeńców wychodziła zegnana radosnym śpiewem organów, w drzwiach świątyni stanęła następna para. Ale kościelny podbiegł do wchodzących i stanowczym gestem ręki nakazał, aby zechcieli chwileczkę poczekać. I oto na moich i ich oczach, Panie, działo się następne misterium zaślubin. Chłopcy zwinęli chodnik, wygaszono kandelabry, większość świec na ołtarzu, zamilkły organy. W ciszy, w półmroku, skromniutko

ubrana, w towarzystwie zaledwie kilku najbliższych osób do ołtarza zbliżyła się para biedaków

Uczestniczyłem, Panie, w gorzkiej lekcji. Ale też zrozumiałem, że w skromności jest mniej teatru, mniej groteski. Teatr absurdu rodzi się w przepychu ceremonii, dekoracji, gestów.

Kościół pogrążył się ponownie w ciszy, w półmroku migotał tylko płomyk lampki wiecznej. Spojrzałem w twarz Chrystusa ukrzyżowanego. Opowiedział mi, co umarło z jego misji, którą obdarował świat przed

dwoma tysiącletniami. Poczulem, że dobrze się rozumiemy.

Wyobraźnia przywołała scenę z Ewangelii św. Mateusza: „I wszedł Jezus do świątyni, i wyrzucił wszystkich, którzy sprzedawali i kupowali w świątyni, a stoły wekslarzy i stragany handlarzy gołębiami powywracał”.

#### **DZIEŃ BEZ MODLITWY**

Przestałem się modlić, Panie! Nie proszę o nic. Jeżeli jesteś Wszystkowidzący, widzisz mnie, jak na dłoni, na przestrzał. Czytasz w moich myślach. Widzisz, jak nieudolnie zamieniam myśli w słowa. Widzisz, jak usiłuję żyć w zgodzie z gromadą i jak usiłuję wymknąć się ze zniewalających objęć gromady. Widzisz moje grzeszki, grzechy i podłości. Widzisz moją mądrość i moją głupotę.

Jeśli słuchasz, Panie, do Twojego ucha wpływa dziennie kilka miliardów modlitw. Ocean modlitw. Modlitw cichych, szepczanych w półmroku świątyni, w ciasnych izdebkach, poddaszach, piwnicach... Modlitw z łóżek szpitalnych, z cel więziennych, z pustkowi spalonych słońcem i skutych lodem. Ale też modlitw skandowanych chóralnie, powtarzanych w rytmie bicia dzwonów, modlitw podpartych maszerowaniem, klęceniem, biciem pokłonów, leżeniem krzyżem na posadzce świątyni. Planeta Ziemia w swym kosmicznym biegu jak kometa ciągnie za sobą długi, gęsty ogon modlitw. Tak od tysięcy lat! Być może, Panie, pierwsze myśli pracownika wyartykułowane słowem były słowami modlitwy.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny.” I od zarania – niemal w rytmie tej modlitwy błagalnej – człowiek zatrąwa powietrze, wznieca ogień niszczący i wojny. Sporo czasu poświęciłem na studiowanie historii głodów i wojen. Rozumiem, Panie, Twoje

zadumane milczenie.

Ileż z tych modlitw, słanych do Ciebie, to po prostu bezmyślne klepanie słów omijających serce i rozum. Ileż modlitw dyktuje złość, nienawiść. W ślad za bombowcami startującymi na miasta - cele płyną modlitwy wspierające pilotów. I kapłan święci broń. Przecież istnieją organizacje fanatyków, ludzi, którzy dla Ciebie, w imię Twoje mordują inaczej myślących. Czyżnią to ku Twojej chwale, Panie.

Modlitwa zgubiła swój sens. Dlatego przestałem się modlić. Nie proszę o nic. Nie życzę nikomu niczego złego. Nie dzielię ludzi według poglądów, koloru skóry, miejsca urodzenia... W ogóle nie dzielię ludzi na lepszych i gorszych. Jeżeli już, to na interesujących i nudnych, mądrych i głupich. Oto cały mój podzięk. Nudnych omijam, z ciekawymi chętnie przebywam, mądrych podziwiam, głupi po prostu mnie bawią.

Moja babcia, moja matka, moje ciotki całe życie w modlitwach. Matka kłękła przed obrazem Najświętszej Pani. Wzruszona słowami modlitwy ze łzami w oczach prosi o opiekę nade mną: – Wstaw się Najświętsza i spraw, aby syn mój ukończył pomyślnie tę uczelnię. Chociaż nie bardzo wierzy w sens podejmowanych przeze mnie studiów, o pomoc szczerze prosi. I jeszcze prosi Antoniego o osobistą opiekę nade mną, żeby mnie nic złego nie spotkało.

Ojciec widzi moją przyszłość inaczej: – Jeśli nie będzie się

uczyl, to przez modlitwę oleju w głowie nie przybędzie! Tak powie ojciec oficjalnie. Ale przed snem, gdy przykłęknie przy łóżku na krótki „Ojciec nasz...” – na wszelki wypadek – dorzuci kilka słów prośby na moją intencję. Zwróci się pewnie do Najwyższego słowami: – Czego ja nie mogłem osiągnąć, pozwól łaskawie zdobyć mojemu synowi. Przecież każdy człowiek musi być z czegoś dumny! Mnie się marzy syn mądry, z otwartą głową. Dla Ciebie Boże to drobnostka, dla mnie najwyższy cel życia.

Sądzę, że modlitewne rozmowy mojego ojca z Najwyższym stanowią coś w rodzaju pertraktacji. Ojciec opowiada Bogu swoje marzenia, potem zarys ich realizacji, a następnie, w krótkim komentarzu, wyłuszcza, w jakim zakresie jest niezbędna pomoc. Nigdy jednak w tych rozmowach z Najwyższym nie mówi o swoich bezpośrednich potrzebach. Po męsku, nie zwraca Bogu głowy swoimi sprawami. Bóg, który zajmuje się całym Kosmosem, nie może tracić czasu na szukanie zgubionego klucza albo na pomaganie leniom.

W długim warkoczu-ogonie modlitw, który ciągnie za sobą pędzącą w przestrzeni kosmicznej Ziemia, jest mikroskopijnie małe puste miejsce. To moje miejsce, Panie. Może spojrzysz właśnie, zaintrygowany, w ten punkcik ciszy, na to moje sceptyczne zamyślenie.

Edward Kaczmarek  
Absolwent Politechniki Gdańskiej

## OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (10)

W kreślarni, gdy brakło nam bieżących tematów, wspominaliśmy dziwnych i ciekawych ludzi, z którymi udało nam się zetknąć. Były to opowieści z wojska, z Oświęcimia, z więzień. Niestety, niewiele pozostało w mojej pamięci. Obecne dyskusje nad przynależnością do Unii Europejskiej i związane z tym odczucie przynależności narodowościowej przypomniały mi moje opowiadanie, które nazwałem:

### JEWROPIEJEC (Europejczyk)

Treść tej opowieści można by ująć w trzech zdaniach. Byłaby to krótka relacja z rozmowy z panem Raubo, którą prowadziłem w czasie okupacji niemieckiej. Jednak, gdy zanurkowałem we wspomnienia, wyłonił się tak barwny obraz z mej młodości, że pozwałam sobie go tutaj przedstawić, jako bogatą oprawę właściwej treści.

Miejscem wydarzeń był majątek Szejbakpol położony trzy kilometry na zachód od Lebidki. Dziwną swą nazwę zawdzięczał wodzowi tatarskiemu Szejbakowi, którego na tych polach w roku 1242 pobił Erdwił, książę żmudzki, brat Mendoga, i zwycięstwem tym powstrzymał dalszy pochód dziczy mongolskiej. Szebakpol położony był na 50-metrowym wzniesieniu górującym nad dużym bagnem o dzwicznej nazwie Kieturki. Z naszego domu widać było na widnokręgu, na tle nieba, starą aleję lipową prowadzącą do tego majątku. To tam miało dojść do wspomnianej bitwy i – jak podawał zachowany ustny przekaz – wylano tam morze krwi. Było jej tyle, że nie tylko ziemia stała się czerwona, ale jeszcze za moich czasów, nad tymi lipami, o zachodzie słońca całe niebo bywało skapanie we krwi.

*Miejscem wydarzeń był majątek Szejbakpol położony trzy kilometry na zachód od Lebidki. Dziwną swą nazwę zawdzięczał wodzowi tatarskiemu Szejbakowi, którego na tych polach w roku 1242 pobił Erdwił, książę żmudzki, brat Mendoga, i zwycięstwem tym powstrzymał dalszy pochód dziczy mongolskiej.*

Sejbakpol przechodził różne losy koleje, był też własnością możnych rodów Aleksandrowiczów i Platerów. Po powstaniach został skonfiskowany i przeszedł w moskiewskie ręce. W końcu ubiegłego wieku był we władaniu kozackiego pułkownika Kondratienki. Ten się ożenił z miejscową szlachcianką, Polką. Po urodzeniu się ich córki Marii, pułkownik zmarł, a matka wychowywała córkę w polskim duchu. Z nią to ożenił się mój stryj Mieczysław Reichel, i w tym majątku, wraz ze swoją żoną Maniulą, gospodarzył.

Majątek miał ponad 500 ha, samo podwórze było hektarowej powierzchni. Były tam stodoły, stajnie, obory, dom mieszkalny, duży świr (tak w tych stronach nazywano spichlerz) i ruiny pałacu. Ze wspaniałego pałacu zostało tylko kilka naróżnych fragmentów ścian ze śladami polichromii, i wiele gruzu ceglanego. Na szczytach ruin były liczne gniazda bocianie. Wszyscy wiedzieli, że w tych ruinach straszły duchy. Miało się tam pokazywać 7 panien w białych koszulach i ze świecami w rękach. Ponoć miały one pożegnać życie w tragicznych okolicznościach, podczas jakiegoś najazdu, i nie zasnęły świętych olejów, ani światła gromnicy. Miał też tam pojawiać się rycerz na białym rumaku w srebrzystym pancerzu i srebrym hełmie. Może on spowodował śmierć tych dziewic?

Wraz z moimi kuzynami, młodymi Reichlami, chcieliśmy te duchy zobaczyć. Przesiedzieliśmy w ruinach całą noc, ale poza pohukiwaniem sowy, lotem nietoperzy, piskiem szczurów i tupotem jeża - niczego godnego uwagi nie zaobserwowaliśmy. Może tego dnia duchy miały wolny dzień? Wszak duch też człowiek (?) i ma prawo do wypoczynku.



Razu jednego legenda stała się faktem! Aby to opowiedzieć, muszę powędrować do, sąsiadującej z Szejbakpołem - Szlachetowszczyzny. Był to niewielki folwark, w którym gospodarzyli Wołkowie-Laniewscy - szlachta zaściankowa. Gospodarzyły raczej ich żony i młode Wołczęta, starsi na ogół mieli poważniejsze zajęcia. Za moich czasów Wołkowie "siedzieli" na skrawku ziemi. Reszta jej poszła do "chamów", jak mawiali, gdyż na wódkę potrzebowali pieniędzy. Tradycja podawała, że ojciec współczesnego mi właściciela zaprosił kiedyś okolicznych kompanów na uroczystość nastawiania beczki nalewki na wiśniach. Wypał ze dwa wiadra dojrzałych, aż czarnych wisien, zalał to wiadrem okowity, a co pozostało, to rozpijali, ciesząc się myślą o przyszłym smaku wspaniałego napoju i chwalać dalekowzroczną gospodarność. Czas im szybko uchodził w miłym gronie, ale wkrótce poczęło im brakować gorzałki. Któryś z nich miał umysł bardziej badawczy i zainteresował się, jak prędko przechodzi kolor z owoców do płynu. Nikt nie znał odpowiedzi, więc nalałi trochę do szklanki, popatrzyli pod światło, płyn był różowy. A co ze smakiem? zapytał inny.

Poszły badania organoleptyczne. Już było czuć smak wiśni i z każdym kieliszkiem był on coraz silniejszy. Na drugi dzień zostały już tylko wysrane pesteczki.

Rówieśnik mojego ojca, pan Stanisław Wołk, miał klasę, był to szlachciura o wielkiej fantazji. Niski, szczupły, z wąsami, ze srebrną ostrzyżoną na jeża czupryną, ubrany był zawsze w siwą samodziałową, zapiętą pod szyję kurtkę, leżącą na nim jak dobrze skrojony mundur. Ubiór jego uzupełniały dobrze wyczyszczone, juchtowe długie buty. Chyba się w kulbace urodził, tak wspaniale trzymał się w siodle, do którego miał zazwyczaj przytroczoną szablę. Gdy wracał z miasteczka, to przyuczona stara kobyła zatrzymywała się przed każdą przydrożną karczmą i meliną, budząc swego pana głośnym rzeniem, by mógł się on tam pokrząć.

Kiedyś, letnią nocą, gdy wracał tak z jarmarku, dla ochłody zdjął czapkę i wsadził ją do juków, a że był wielce strudzony, więc się zdrzemnął. Dodać trzeba, że droga do domu wiodła przez szejbakowskie podwórze. Psy go oszczeptały i zaniepokojona tym ciocia Maniula, w stroju niedbałym, wzięła zapaloną świecę, zastłoniła ją ręką od wiatru, i wyszła z domu zobaczyć, czy ktoś się nie dobiera do spichrza. Usłyszała blisko jakiś odgłos, podniosła więc szybko świecę. Ta, gasnąc w podmuchu wiatru, jeszcze jasno rozbłysła, oświetlając rycerza w srebrzystym hełmie i srebrzystym pancerzu, na białym rumaku. Kobyła stanęła, Wołk obudzony zobaczył przed sobą, w ostatnim błysku światła, pannę w bieli ze świecą trzymana nad głową. Maniula krzyknęła strasznie, przerażona rzuciła się do ucieczki, ścigana tętentem galopującego upiora. To pędził na złamanie karku, okładając nahażem konia, przerażony Wołk, ścigany potępięcym wrzaskiem upiora.

Byłbym niesprawiedliwym względem Wołków, gdybym ograniczył się tylko do tych ironicznych informacji. Dom ich dyszał polskością, biblią, była tam też "Trylogia". Śpiewano pieśni Syrokomli i Moniuszki, wszyscy grali w szachy. W czasie okupacji dom Wołków był stałą bazą akowskiej partyzantki. Często był tam szpital, dwie córki były łączniczkami i sanitariuszkami, a czterech chłopaków walczyło w oddziałach partyzanc-

kich. Jeden z nich poległ. Tak to kolejne ich pokolenie płaciło daninę krwi swej ziemi, której nie pozwolono być Ziemią Polską. Losy tej rodziny zasługują na oddzielne opracowanie, ale, jak mawiał Kipling - jest to zupełnie inna historia.

Pora wrócić do meritum opowieści. W gospodarstwie stryja ważną postacią był pan Raubo. W mojej pamięci był on tam "od zawsze". Pochodził ze szlacheckiego zaścianka Rauby, położonego nad rzeką Lebiodą. Pan Raubo - nie znałem jego imienia - był dla mnie zawsze bardzo stary. Może miał 60 lat, może 80. Był niski, drobny, o dużych wąsach pożółkłych od machorki, krótko ostrzyżony, o pomarszczonej twarzy, z bystrymi oczami ukrytymi za krzaczastymi brwiami. Nosił burą samodziałową kurtkę, długie buty i zazwyczaj, niezależnie od pory roku, miał na sobie stary kozuch. Wyznawał zasadę: do Świętego Ducha nie zdejmuj kozucha, a po Świętym Duchu chodź tylko w kozuchu.

Pan Raubo był bezgranicznie oddany całej rodzinie stryja i też był obdarzany pełnym zaufaniem. W jego pieczy były klucze do wszystkich pomieszczeń gospodarczych, on wydawał owies na obrok dla koni, ważył i ekspediował zboże na sprzedaż. W lokalnej hierarchii zajmował osobną pozycję. Mieszkał w małej klitce dobudowanej do domu mieszkalnego, który był starym lamusem o metrowej grubości ścianach. Jadał zawsze u siebie, nie przy "pańskim" stole, ale też nie ze służbą w kuchni. Wyposażenie jego klitki było isticie spartańskie: małe wyrko zasłane baranicą, mały stół, jeden zydeł, drewniana skrzynka zamknięta na kłódkę. Pan Raubo był bezcennym źródłem informacji o całej okolicy: o koligacjach rodzinnych sąsiadów, o stanie ekonomicznym okolicznych gospodarstw, o złodziejstwie okolicznych wiosek, o rzetelności i nierzetelności miasteczkowych kupców żydowskich.

W czasie okupacji niemieckiej gospodarzyła w Szejbakpolu moja kuzynka Ewa Reichel, jedyna, która przypadkowo ocalała z bolszewickiego pogromu całej rodziny. Mieczysław, jej ojciec, już we wrześniu 1939 r. został, jako sędzia, uwięziony przez NKWD, i ślad po nim zaginął. Jeden z braci trafił do niewoli niemieckiej, a pozostali dwaj bracia wraz z matką zostali wywiezieni do Kazachstanu.

Po wejściu Niemców pojawił się zaraz w Szejbakpolu niezawodny pan Raubo i dzielnie doglądał gospodarstwa. Spotkałem się z nim wówczas i pewnego razu opowiedział mi swoje perypetie. Otóż w 1939 r. Sowieci uznali całą ludność tych terenów za obywateli radzieckich i zaczęli wydawać dowody osobiste zwane paszportami. Wypełniając formularz, trzeba było podać swą narodowość. I tu zaczynał się poważny problem. Jeżeli ktoś podał narodowość białoruską, to go brano natychmiast do wojska, narodowość polską zaś skazywała na wywózkę. Pan Raubo dumał długo i napisał "jewropiejec". Taka narodowość nie figurowała jednak w spisie bodajże 120 narodowości zamieszkujących Związek Radziecki. Kazano mu wybrać inną, na co on się nie godził, i tak przetrwał aż do wkroczenia Niemców. Wysłuchałem tej opowieści jak dobrej anegdoty, teraz wspominam ją z podziwem dla mądrości pana Rauby. Jak ten stary, prosty człowiek potrafił przewidzieć geo-polityczną sytuację, która miała nastąpić po 60 latach?

*Kazimierz Iwanowski  
Wydział Mechaniczny*

# CZY JESTEŚMY LEPSI OD ZWIERZĄT?

*Iustitia et pietas duo sunt regnorum omnium fundamenta (w wolnym tłumaczeniu: sprawiedliwość i prawowierność są dwoma filarami każdej władzy). Napis na Bramie Wyzynnej w Gdańsku.*

Zapewne większość z Państwa bez głębszego zastanowienia odpowie twierdząco na zadane w tytule pytanie: ludzie są znacznie lepsi, gdyż dzięki dużemu mózgowi stoją dużo wyżej od swoich „braci mniejszych” na szczeblu tzw. drabiny ewolucyjnej – aż na samym jej szczycie. Ale potęga ludzkiego intelektu, np. zdolność pisania i czytania, układania programów komputerowych itd., wcale nie musi iść w parze z innymi ważnymi zaletami. Mam na myśli sprawiedliwość, prawdomówność, odpowiedzialność i osobistą kulturę, szacunek dla bliźniego, poczucie humoru oraz godności, wyrozumiałość i gotowość do wybaczenia oraz zawierania mądrego konsensusu z innymi ludźmi etc., etc. Tych zalet, niestety coraz rzadszych, mógłbym wymienić jeszcze przynajmniej kilkanaście – cechują one niedysyjszych „ludzi z klasą”. Dość powszechnie uważa się, że wymienione przeze mnie cechy są reliktem, swoistą archeologią - i wszystkie one rekompensowane są przez inną wartość – pokazne osobiste konto w banku. To, że jego właściciel zwykle prowadzi nieuczciwe transakcje, oszukuje Urząd Skarbowy, korzysta z różnego rodzaju znajomości i koneksji politycznych itd., przez znaczną część społeczeństwa nie jest traktowane nagannie – wręcz przeciwnie: przecież owe „przekręty” sprzyjają powstawaniu klasy średniej, która jest niezbędnym elementem w realizowanym modelu państwa, za pożyczonym od Zachodu. Według niektórych gospodarczych „proroków” koniec narodzin owej klasy będzie oznaczać wejście na drogę cnoty i uczciwości. W moim odczuciu, prezentowanie takiego poglądu jest przejawem „ślepej” wiary i politycznego fanatyzmu. W świetle powyższych faktów, często zadaję sobie też pytanie: czy aby nie „kupiliśmy” za duże pieniądze od wspomnianego Zachodu przysłowiowego kota w worku, i to na dodatek zdechłego?

A zatem, czy tylko my – ludzie – potrafimy kłamać, oszukiwać, czy też zabijając z żądzy zysku lub z zemsty? Otóż i tak, i nie. Wprawdzie w odniesieniu do dzikich zwierząt nie znam przypadku, aby te gromadziły jakieś dobra dla samego ich posiadania, lecz przykład ze sroką, kradnącą różne świecidełka, raczej przeczy mojemu stwierdzeniu. Jednak ptak ów nie robi tego w nieskończoność, lecz zadawała się kilkoma trofeami. Większą uwagę poświęca natomiast innym zajęciom: zdobywaniu pożywienia, wychowywaniu piskląt i obronie własnego terytorium. Znanym oszustem jest lis, który potrafi udawać martwego. Czyni to wyłącznie w celu upolowania zdobyczy i doradzenia zaspokojenia głodu lub ocalenia życia, nie zaś dla porażenia innej istoty. Jego głównym pożywieniem są gryzonie, m.in. myszy i nornice, a opinia bezwzględniego „złodzieja kur” jest wielce krzywdząca. Natomiast prawdą jest, że lis stanowi

główne ogniwo w rozprzestrzenianiu się wścieklizny.

Niedawno, na skwerze w Brzeźnie obserwowałem trzech lumpów popijających tanie wino. Towarzyszyły im dwa kundle, które „pociągały” piwko z jednorazowego plastikowego kubka. Zanim psy uraczono „małym jasnym”, wyglądały na bardzo zdenerwowane i ciągle skomlały – były to niewątpliwie symptomy psiej choroby alkoholowej, „odziedziczonej” po człowieku. Na identyczną chorobę zapadła też pewna świnią domowa, będąca obiektem ludzkich eksperymentów. Wcześniej została ona wybrana przez swoje stado na przywódczynię. Objawiało się to m.in. i tym, że mogła bezkarnie gryźć osobniki stojące niżej w utworzonej przez te zwierzęta stadnej hierarchii. Najgorzej miały świnię zamykające wspomniany „układ personalny”, bo wszystkie ważniejsze osobniki mogły wyżywać się na nich bez ograniczeń. Można powiedzieć w tym miejscu: jakie to ludzkie. Jednakże przebieg dalszych wydarzeń mógłby zachwiać dobrym mniemaniem o ludzkiej dominacji umysłowej. Otóż stado wybrało nową szefową, a dawna przywódczyni-pijaczka została zdegradowana, podzielać los tych ostatnich w stadzie. Naukowcy, którzy wpędzili naszą bohaterkę w alkoholizm, tym razem wyleczyli ją z tej wstydlivej przypadłości. Po jakimś czasie stado ponownie zaakceptowało nawróconą świnię jako przywódczynię, dzięki różnym osobniczym, można by rzec – osobistym jej walorom, niezwykle korzystnym dla stada. Cóż – chyłę czoło przed mądrością wymienionych zwierząt, którą obdarowała je Matka Natura. Jak widać, liczy się u nich dobro ogółu, a ster władzy dzierży osobnik o najlepszych predyspozycjach do rządzenia. Niestety, we współczesnym społeczeństwie ludzkim najczęściej nie mogą odnaleźć stosownej analogii. Obserwuję za to postępującą degradację, objawiającą się przede

***Kot nie atakuje miejskich gołębi – czyżby zatracił myśliwską żyłkę? A może czuje się już stary i tym samym nieskory do polowania? Jedno jest pewne – zachowuje się godnie, jak przystało na dostojnego Pana Kota. Pisząc o moim bohaterze nie mam pojęcia, czy nie jest on czasem stateczną kotką, choć osobnikom płci żeńskiej przypisuje się raczej inne cechy: przywilność i chęć do figli (znalazło to odbicie w nazwaniu niektórych pań kotkami).***

wszystkim poprzez rosnący osobisty i grupowy egoizm oraz przez tzw. negatywną selekcję – kto ma pieniądze ten ma władzę, i odwrotnie. Rzadko kogo, dysponującego fizyczną i „społeczną” przewagą, stać na wstrzemięźliwość. Bez przerwy słyszy się przecież o pobiciach i wymuszeniach oraz o nadużywaniu władzy z racji zajmowanego stanowiska. Jednak pewien kot, mieszkający na moim osiedlu w sklepie warzywnym, zachowuje się całkiem roztropnie. Swojej „siły” używa jedynie w stosunku do agresywnych psów, atakujących go z ludzkiego naku (znamy przecież wiele przykładów koegzystencji obu zwierząt). Ów miły zwierzak, który chodzi własnymi ścieżkami, potrafił przystosować się do nowego środowiska miejskiego, gdzie dominującym elementem krajobrazu są samochody i, jak dotąd, ominęła go okrutna śmierć pod kołami któregoś z nich. Dzięki przyjaźni z okolicznymi kupcami, otrzymał prawo wstępu do sklepów rybnego i mięsnego, gdzie otrzymuje pożywienie. Kot nie atakuje miejskich gołębi – czyżby zatracił myśliwską żyłkę? A może czuje się już stary i tym samym nieskory do polowania? Jedno jest pewne – zachowuje się godnie, jak przystało na dostojnego Pana Kota. Pisząc o moim bohaterze nie

mam pojęcia, czy nie jest on czasem stateczną kotką, choć osobnikom płci żeńskiej przypisuje się raczej inne cechy: przymilność i chęć do figli (znalazło to odbicie w nazywaniu niektórych pań kotkami).

Czy zatem nas, ludzi ogarniętych megalomanią w stosunku do innych żywych istot, stać na działania, które winny wynikać ze wspomnianej wcześniej wysokiej pozycji homo sapiens? Czy możemy być chociaż wierni jak pies i czy potrafimy trwać przy swoich poglądach, jak czyni to przysłowiowa krowa? Podobnych pytań można zadać więcej. Najczęściej jesteśmy źli na bliźnich, jak wściekły pies, tudzież „głodni” wszelakich dóbr materialnych – jak wilk. Pozwolę sobie na małe uzupełnienie. Otóż naukowcy, badając zwierzęta, głównie te żyjące w grupach społecznych, stwierdzili u nich wyraźne odrębności osobnicze. Udało im się wyśledzić zwierzęcych lizusów, złodziei, tchórzy, kunktatorów, oszustów etc.; mieli do czynienia z niewiernymi psami i wyjątkowo mądrymi osłami. Stałe, typowe dla danego rodzaju bądź gatunku cechy charakteru wykryli jedynie u zwierząt reprezentujących formy mniej złożone (nie chcę tu użyć słowa „prymitywne”), np. u mrówek i pszczół, które są zawsze niezwykle pracowite... i takimi pozostaną. Czy wobec tego lenistwo, także umysłowe, jest oznaką wysokiej pozycji na drabinie ewolucyjnej, czy tylko skutkiem ubocznym, swoistym „wypadkiem przy pracy”? Przecież nawet Naturze nie wszystko wychodzi idealnie.

I jeszcze mała dygresja. Jakiej płci jest orzeł bielik, widniejący na naszym narodowym godle: jest to samiec, czy samica? Pytanie pozornie postawione jest bez sensu. Jednak orlica prócz swojej siły, odwagi i zdolności pokonywania przestworzy (wielu osobom kojarzy się to z poczuciem prawdziwej wolności) posiada instynkt macierzyński i wspaniale opiekuje się swoim potomstwem. Mam duże wątpliwości, czy w naszym godle umieszczono opiekuńczą samicę, kiedy widzę bezradnych starszków, którzy z racji wręcz symbolicznych emerytur nie mogą wykupić w aptece potrzebnych im leków.

***A jak nas mogłyby ocenić zwierzęta? Podobno w Wigilię Bożego Narodzenia potrafią mówić ludzkim głosem. Ale czy ktokolwiek poważnie potraktuje ten osąd, nawet gdyby z tym ich mówieniem była prawda? Wątpię. Myślę też, że po prezentacji niniejszego artykułu pytanie postawione w tytule pozostanie bez odpowiedzi (można je zaliczyć do typu: co jest lepsze – stół czy krzesło?). W naszej kulturze termin „zwierzę” często ma znaczenie pejoratywne, jego przeciwieństwem zaś jest określenie – „człowiek”. Sądzę, że w świetle wnikliwych obserwacji świata naszych „braci mniejszych”, mamy tu do czynienia z poważnym nadużyciem. To ostatnie stwierdzenie nie wiąże się z chęcią ponizenia rodu ludzkiego.***

Wracając zaś do umieszczonego na Bramie Wyżynnej napisu, będącego dla nas ważnym przesłaniem dawnych gdańszczyzan. Jest ono ciągle aktualne i dotyczy wszystkich szczebli władzy. Warto je wziąć sobie do serca. Ostatecznie od zwierząt musimy się wyraźnie różnić, mamy przecież zarówno zdolność abstrakcyjnego myślenia, jak i swoją etykę chrześcijańską. Wśród żywych istot jesteśmy ponoć rodzajem wyjątkowym – LUDŹMI, bądźmy więc nimi!

*Marcin S. Wilga  
Wydział Mechaniczny*

PS. Ostatnio przechodziłem obok tablicy informującej o niemieckich eksperymentach z czasów II wojny światowej, polegających na wykorzystywaniu ciał pomordowanych więźniów obozu koncentracyjnego do produkcji mydła. Mam w związku z tym mieszane uczucia co do wyższości rodu ludzkiego, a przynajmniej do znacznej jego części, w stosunku do zwierząt.

Badania naukowe wykazały, że niektóre zwierzęta również myślą abstrakcyjnie. Potrafią wykonywać proste operacje matematyczne i używają nieskomplikowanych narzędzi. Można im przypisać także zachowania mieszczące się w obrębie etyki.